Ner 16. Kraków, 22go Kwietnia. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., następnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

TYPY NIEWIEŚCIE,

albo

KOBIETA,

przez

GABRYELĘ Z GÜNTHERÓW PUZYNINĘ,

Autorkę dzieła: W Imie Boże.

Wstęp.

Siostra do Braci.

— Może wam się zdaje, kochani bracia, że siostra, odzywająca się do was, będzie rościć prawo do równego działu w skarbach rozumu i zdolności, któremi nas wszystkich Ojciec Niebieski obdarzył — jak to już nieraz czyniły autorki, dopominające się o to prawo (nie proszone), w imieniu wszystkich kobiet; a świeżo panna de Marchef-Girard w dziele pt.: *Les Femmes*, chcąca wyjątki podać za ogólne prawidła? Założeniem naszego pisma jest owszem zrzeczenie się wszelkiego prawa do praw i własności, wyłącznie wam należnych, — a obstanie silne i zasadne przy tych, które się nam dostały w spuściźnie wprost od matki Ewy, nie wyłączając z nich niczego, ani zarozumienia, ani próżności, ani ciekawości, a to dla wykazania, cośmy z tych wad uczyniły przez tyle wieków, i o ile smutny przykład naszej matki potrafił nas zgorszyć; lub poprawić?

Nie tyle śmiesznością; ile niewdzięcznością i grzechem byłoby dla Ewy, rościć sobie pretensye do cnót lub wad Adama, — tak grzechem, bo co Bóg ustanowił, to szanować powinniśmy — niewdzięcznością też, bośmy i tak hojnie od Stwórcy obdarzone, — a śmiesznością, bo tego zmienić niepodobna. Pogarda zatem mężczyzny ku niewieście równie jest grzeszną, jak niewiasty pretensya do praw mężczyzny. Te dwie, podobne, choć różne między sobą istoty, stworzone były na to aby składać *całość*, nie zaś, coś znaczyć osobno, lub się przedrażniać i prześladować wzajemnie.

DUCH POŚWIĘCENIA.

„Ewa wyszła z raju za Adamem.

Jako największa liczba ma nad sobą jeszcze wyższą cyfrę, i tak do nieskończoności, tak samo cnota daje się przewyższyć cnotą, bo doskonałość moralna ma szczebli bez liku, prowadzących do wieczności bez końca, — która jest tejże doskonałości celem i wynagrodzeniem.

Przejęci tą prawdą, przystępujemy do opisu trzech postaci niewieścich, które, chociaż tą samą szły drogą i tą samą cnotę *poświęcenia się* wypełniały, jednak są w nich stopnie i odcienia, i dla tego te nasze trzy obrazki śmiemy porównać do pieśni kościelnej *Salvum fac*, której też same wyrazy na coraz inny ton się śpiewają.

PIERWSZE SALVUM FAC.

NARZECZONA.

Słyszeliśmy z ust gospodarzy, obznajomionych z rozmaitemi gatunkami ziemi, że grunta najlepsze, najsilniejsze, kryją się często pod warstwą lekkiej ziemi, nawet piasku, na powierzchni których rosną tylko: trawa i kwiatki.

Podobnie dzieje się z charakterami ludzkiemi, czy raz zawodzą nas powierzchowne oznaki? Czy raz zadziwieni łatwością, z jaką przychodzi nam uprawiać młode dusze, zgłębiając je dalej, natrafiamy niespodzianie na granit, o który się druzgocą wszystkie nasze narzędzia?!...

Takim gruntem lekkim na pozór, i wydającym same delikatne trawki, — była dusza Jadwigi... Matka i ojciec cieszyli się nie doznając oporu na swoje żądanie od tej natury giętkiej, łagodnej, wesołej, ustępującej, nie zdającej się przywiązywać ceny ani do swej własności, ani do swej woli; Jadwiga rosła prosta i giętka, jak topolka, chyląca się za lada wietrzykiem. Mówiono do koła że szczęście będzie dla tej istotki bardzo łatwem, bo je znajdzie w każdem miejscu, z każdym człowiekiem, którego Bóg jej na męża przeznaczy.

Jadwiga miała lat 18, gdy się nadarzył starający o jej rękę znany obywatel, już wdowiec; ale którego zalety gruntowne, rozum i szlachetne serce oceniła, i pokochała od razu młoda dusza Jadwigi; skłonność córki tak się zgadzała z wyborem rodziców i z opinią przyjaciół, iż ogólnie uwierzono, że Jadwiga, nawykła ulegać i stósować się do zdania starszych, poszła tylko za ich radą.

Już było po zaręczynach, gdy nagle pan Wincenty (narzeczony Jadwigi), zamieszany w towarzystwo, w którem obok dusz hartownych znalazły się i słabe, został z innemi wydany, pojmany, uwięziony, a nakoniec skazany na odjęcie szlachectwa, i na wygnanie do ciężkich robót.

Rodzice Jadwigi zapłakali nad losem zacnego człowieka, któremu już mieli los dziecka powierzyć; ale smutne okoliczności zdawały się zrywać wszelkie układy, sam pan Wincenty zwrócił narzeczonej słowo i pierścionek... Ale najniespodzianiej Jadwiga oświadczyła, że w tem, co zaszło, nie widzi wcale powodów do zerwania układów i odstąpienia od raz danego słowa.

Zdumieli się rodzice na tę stanowczą odpowiedź, nie nawykli do oporu w córce dotąd tak uległej!... Starali się odwrócić ją od chwilowej (jak im się zdawało), egzaltacyi. Ale Jadwiga im odpowiedziała, że wybór rodziców i jej samej miał na celu człowieka, nie zaś jego położenie, a zatem nieszczęście, jakiemu podpadł, i rodzaj jego, podwoiły jeszcze owszem szacunek jej i miłość. Jednem słowem była zdeterminowaną poślubić pana Wincentego i pójść za nim na wygnanie.

Pomimo słów objawiających silne postanowienie, głos Jadwigi nie zdradzał żadnego buntu ani chęci sprzeciwiania się woli rodziców. W całym jej układzie była ta sama, może nawet większa niż kiedy, miłość do dawców życia, których miała na zawsze porzucić; tem omyleni ojciec i matka... ufali, że córka da sobie wyperswadować, i drogą przyjaciół, spowiednika, a nakoniec przez samego biskapa starali się wybić z głowy Jadwigi zgubną egzaltacyą. Ale ona na każdą perswazyę miała silny argument, w oczach jej błysł ogień nie zwykły, cała postać wyszlachetniała, zmężniała: bo dusza rosła w olbrzyma siłą poświęcenia tak dalece, że na groźbę biskupa, iż na ślub nie zezwoli, odpowiedziała najspokojniej, że *pójdzie na wygnanie za narzeczonym.* Te słowa przekonały w końcu rodziców i zezwolili, gwałt czyniąc sercu, na związek, który jak się zdawało na zawsze im córkę wydzierał.

Wincenty był ciągle w więzieniu, wyrok ogłoszony, wyjazd do Tomska już naznaczony, a więc ślub konieczny, i to ślub w samem więzieniu. W sali sądów urządzono ołtarz, suknię ślubną dała przyjaciołka, bo czasu nie było na uszycie nowej, za obrączki umyślnie *ogniwa żelazne z łańcuchów.* Słońce zimowe zachodziło po za okna zakratowane klasztoru ex-bazyliańskiego, gdy skromny orszak ślubny wchodził na salę, proszono pannę młodą, aby wysłuchała raz jeszcze wyroku wydane go na jej oblubieńca; aby, póki pora, mogła się wycofać—rodzicom zostawał promień nadziei... Czytano wyrok zwolna: *Odjęcie szlachectwa, wieczne wygnanie, ciężka praca i zerwanie z krajem i rodziną,* stanęły widomie, jak kat z toporem wzniesionym nad ofiarą, która jednem słowem mogła się uwolnić od niego. Narzeczony śledził wrażenia na twarzy oblubienicy, ze szlachetnem postanowieniem poświęcenia siebie, byle tylko dostrzegł w niej cienia trwogi lub zwątpienia. Ale Jadwiga słuchała wyroku bez żadnego wzruszenia na pozór... radość i nadzieja, ustępując z serca matki, zwolna wchodziły w duszę oblubieńca. Skończono czytać, Jadwiga podała rękę panu Wincentemu: „Idźmy! — rzekła mu spokojnie — nic nowego się nie dowiedziałam, czegóż więcej czekać?"

I ślub się odbył śród cichego łkania matki, śród łez otwarcie płynących z oczu wszystkich obecnych, a nawet i sędziów.

Nie podobną było młodej kobiecie jechać razem z więźniami, których nie inaczej jak kibitkami wieziono, a to było zimą. Jadwiga pozostała do wiosny u rodziców, którzy mieli czas wdrożyć się do myśli, że ją utracić muszą. Słysząc ją, nazywaną innem już nazwiskiem, przywykli do myśli, że do niej stracili już prawo. Jadwiga zaniechała wszelkich zabaw i strojów, szyła sobie suknie proste, ciepłe, stósowne dla wygnanki, mającej żyć na północy. Z owej róży, z owej jagódki, z owego ptaszka, z owej dziewicy pustej i wesołej, co zdobiła, rozweselała, ożywiała dom cały, powstała niewiasta poważna i cicha, myśląca i spokojna; ale blednąca z dniem każdym: bo śród kraju, śród swoich, śród wygód, ona tęskniła za mężem wygnańcem! Rodzice nareście sami ją wyprawili. Serce jej lgnęło do pozostających, rwało się do oddalonego: bo serca gorące i szlachetne, zawsze za kimś tęsknią — kto jednej osobie wyłącznie się odda, jest egoistą, i siebie kocha w drugich. Jadwiga odjechała o kilkaset mil, by w odludnej stronie stać się aniołem-pocieszycielem nietylko swego małżonka; ale duszą, ochłodą, męztwem, sercem całej rodziny wygnańców! Garnęli się do niej, jak do ogniska uczuć, jak do wzoru cnót. Ona była punktem, koło którego skupiało się wszystko. U niej znajdywano Litwę kochaną, która ogrzewała ich sercem i oświecała myślą; książki, nuty, listy, wszystko to od niej mieli, i było im dobrze, wcale dobrze — na tym bezludnym, zimnym, martwym (bo na kilkanaście tylko dni na rok zakwitającym) stepie. Ale gdzie była Jadwiga, tam było zawsze ciepło i jasno, tam wszystko kwitło, żyło i kochało. Jednem słowem, dom pp. Wincentych był oazą na pustyni. A po latach 18tu, gdy, za nastaniem łaskawszych okoliczności, wrócono do kraju tych, co mieli umierać w śniegach północy, jeszcze ta kobieta, której młodość, świeżość i zdrowie, zostały w krainie lodów, rozjaśnia się na wspomnienie tych lat na pozór straconych, bo czuje że dla niej, dla męża i ich współbraci były one latami, nietylko próby i zasługi, ale i zwycięztwa ducha nad ciałem.

JADWIGA,

KRÓLOWA POLSKA.

(Ciąg dalszy).

III.

Do Krakowa zjeżdża się „rozstawienie poruszony senat polski," upewnion, że Jadwiga już wyruszyła z Węgier. Senatowi towarzyszy „gęsty orszak szlachty" a z niego, „którzy zawczasu przyjechali, ci aż na granice węgierskie przeciw królowej jadą". Tam w rzeczy samej jechała już oczekiwana królewna. Jechała traktem sądeckim, licznym dworem i bogatym orszakiem towarzyszącej szlachty węgierskiej otoczona, „z bogatym i okazałym złotych i srebrnych klejnotów skarbem, i drogo tkanym bławatów zbiorem, jaki przynależało mieć tak zacnej króla wielkiego córce" [1]).

Młoda Jadwiga powierzoną była w tej podróży opiece dwóch dostojnych i zacnych mężów: kardynała arcybiskupa strygońskiego i kanclerza królestwa węgierskiego Dymitra; oraz biskupa czanadzkiego Jana. „Pod opieką więc tych obudwóch kapłanów, śród świetnej służby szlachetnych matron i panien, już to konno na bogato przystrojonym bachmacie, zwyczajnym wówczas środku podróżowania kobiet, już to w dużej kolebce o złocistych ozdobach i kilku podtrzymujących ją z boku pajukach, jechała trzynastoletnia królowa polska" [2]).

Znający określone powyżej położenie bezkrólewiem zwaśnionego narodu, odgadnie łatwo to wielkie uczucie, szereg radości, z jakim nową i piękną królowę witano w Krakowie. Aby zaś, jak najprędzej upewnić ją na tronie, a sobie ustalić spokój i zgodę, z największym

[1]) Kromer.
[2]) Szajnocha.

pośpiechem zabierali się panowie do koronacyi, do której też młoda królowa, mało co z podróży wytchnąwszy, niebawem przystąpić musiała.

Dzień 15 października, jako dzień patronki św. Jadwigi Legnickiej, poświęcony był na koronacyę [1]. „Zgromadzili się dnia tego z rana w zamku krakowskim wszyscy dostojni koronni, najprzedniejsi panowie świeccy, i wszelkie obecne w Krakowie duchowieństwo. Duchowieństwu polskiemu przodowali arcybiskup gnieźnieński Bodzanta, i biskup krakowski Jan Radlica.

Po zmówieniu modlitwy wstępnej i pokropieniu Jadwigi wodą święconą, wyruszył dwór cały w uroczystym pochodzie ku pobliskiej katedrze. Przodem ciągnęli panowie i szlachta świecka, za nimi panowie duchowni: opaci z pastorałami w infułach, biskupi w szatach pontyfikalnych, arcybiskup polski z arcybiskupem kardynałem węgierskim. Po nich postępowali dygnitarze koronni z insygniami władzy królewskiej. Koronę, przeznaczoną dla królewien, bo króla korony nie było, gdyż ją zabrał Ludwik do Węgier, niósł zwyczajnie kasztelan krakowski, jabłko i szczerbiec inni wojewodowie.

Tuż za temi godłami, pod baldachimem złocistym, przez resztę panów i urzędników trzymanym, szła trzynastoletnia królowa w stroju koronacyjnym, w kapłańskiej albie, tunice, dalmatyce, a sandałach złocistych, w kapie czyli płaszczu królewskim z rozpuszczonemi włosami. Przy boku młodocianej królowej znajdowało się kilka niewiast dostojnych, mianowicie jedna i druga z ksień i przeoryszek krakowskich. Towarzyszyły wreszcie orszakowi koronacyjnemu tłumy dworzan i szlachty z zapalonemi świecami, a zamykało go liczne grono trębaczy i fletnistów, przygrywających ochoczo pochodowi.

Za wnijściem do kościoła, gdzie w pośrodku na podniesieniu ustawiony był tron królewski, złożono insygnia królewskie na ołtarzu. Królowa, otoczona orszakiem dworskim, pozostała u stopni tronu. Rozpoczęła się msza święta. Przed odczytaniem ewanielii przystąpiła królowa do ołtarza. Arcybiskup zapytał ją, czy chce zachowywać wszystkie prawa, swobody i przywileje narodu? Odpowiedź królowej: „Chcę, tak mi Boże dopomóż!“ miała wagę przysięgi. Poczem uklękła Jadwiga, a arcybiskup w oleju świętym umaczał palec wielki, aby namaścić krzyże i prawe ramie królowej. Zastósowana do tego suknia koronacyjna odchylała się z łatwością do koła ramion.

Skończywszy tę ceremonię, wziął arcybiskup koronę z ołtarza, i włożył ją na skronie Jadwigi. Zagrzmiały wszystkie trąby i fletnie, wzniósł się stogłośny okrzyk na cześć nowej królowej. Po odczytaniu ewangielii, śród której wszyscy obecni szable z pochew do połowy wyciągali, na znak gotowości walczenia za wiarę, odprowadzono ją nazad do tronu, uścielonego z kosztownych złotogłowów, gdzie Jadwiga usiadła. Aby ciężka, dużemi kamieniami wysadzona korona, nie gniotła zbyt długo skroni dziewiczych, podnieśli ją dwaj dostojnicy koronni nieco w powietrze, i trzymali ją tak przez cały czas po nad głową.

W dalszym ciągu mszy przy *offertorium*, zstąpiła królowa z tronu, i w szczerozłotem naczyniu złożyła chleb i wino na ołtarzu.

Za przykładem królowej, każdy z panów ofiarował co łaska. Poczem wróciwszy znowuż na tron, pozostała tam Jadwiga aż do komunii kapłańskiej. Wtedy udała się ona jeszcze raz do ołtarza, i... uklęknąwszy w pokorze, przyjęła ciało i krew pańską. Byłto ostatni akt ceremonii kościelnej. W zakończenie ozwał się znowuż gwarny chór trąb i fletni. Przy ich ciągłym odgłosie wrócił cały orszak koronacyjny tym samym porządkiem w bramy zamkowe. Czekała tam wszystkich świetna w obec wszystkich uczta. Jadwiga zasiadła przy niej na przygotowanym u stołu tronie. Goście chwalili sobie w takim razie nad wszystko obfitość wina i ryb.

Nazajutrz po wspaniałej uczcie, objechawszy główny plac miasta, zasiadła w stroju królewskim młoda królowa na tronie przed ratuszem, gdzie uderzyli czołem przed nią: burmistrz, dwadziestu czterej rajcowie, czyli konsule, apostolskie grono jedenastu sędziów ławników z dwónastym wójtem na czele, i wszystka wreszcie pospólność miejska, wiedziona przez starszych, których bywało do czterdziestu. Pierwszą oznaką łaski otrzymywali mieszczanie zwykle potwierdzenie dawnych przywilejów i praw. Jadwidze zaś nastręczała ta scena hołdu pierwszy widok właściwego wnętrza stolicy, tak odmiennem od reszty Polski napełnionego życiem, tak różnego od niej swoim gwarem, strojem i obyczajem. Po dokonanym obrzędzie powróciła królowa z swoim szlacheckim i kapłańskim dworem na zamek.

„Utęchnęło tedy było, pisze Kromer, ckliwe pragnie-„nie króla w sercach wszystkich Polaków, zmorzone „smacznemi i hojnemi obyczajmi Jadwigi, wstydliwo-„ścią, skromnością, mądrością i wdzięczną przyjemno-„ścią przeplatywanemi, które cnoty też i przybytek nie „gorszy od siebie miały, kształtną i urodziwą wspania-„łej dziewki postawę.“

Uspokoił się naród wielce, czuł bowiem iż w blasku białego czoła młodziuchnej Jadwigi, blask porannej gwiazdy świetności narodowej prześwieca... Dziękczynne też modły do Pana Zastępów zanoszone, płynęły z głębi szczerą wdzięcznością przepełnionego serca — zawierającego na nowo wieczne przymierze, niezłomnego aliansu między Bogiem i Polską. Lecz jak wprzódy, tak i teraz nie cały naród przejęty był tem zgodnem uczuciem czci i uwielbienia dla Jadwigi. Były w Polsce wyrzutki, nie zgadzające się z ogółem narodu: i ci nie ustawali rozszerzać niezgody domowej po kraju, psując jego społeczeński porządek.

Do tych szczególniej należał Ziemowit, który wcale nie serca uczuciem chciał połączenia z Jadwigą; lecz, widząc w niej jedyny środek do utrzymania się na tronie, pragnął koniecznie z nią związków małżeńskich. Nowa przeto troska zajęła umysły senatorów: „zkądby królewnie męża takiego obmyślić, któryby dostojności królewskiej i ciężarowi głównemu spraw koronnych gruntownie wydoływał.“ W trosce tej napotykali rozliczne trudności. I tak prócz Ziemowita, narzucało jedno stronnictwo Jadwidze Władysława Opolczyka, lubo już żonatego; drudzy, umiejąc z panowania młodej pani korzyści dla siebie ciągnąć, radzili nawet aby wcale żadnego nie szukać króla, i na królowej tylko poprzestać. Byli to spekulanci, sowicie teraz nagradzający sobie trudy, jakie łożyli w przeprowadzeniu praw Jadwigi do tronu polskiego i osadzenia jej na nim jak najprędszego. Małopolska zaś trwała w przedsięwziętym już dawniej zamiarze, i zwracała swoją uwagę na Litwę.

Tam też winniśmy i my naszą uwagę skierować.

(C. d. n.)

[1] Opis koronacyi pozwoliliśmy sobie wyciągnąć z IIgo tomu: *Jadwigi i Jagiełły* Karola Szajnochy.

PRZECZUCIE.

(Podług serbskiego).

Matko, matko! straszna w sercu trwoga!
Co się dzieje, mówcie mi na Boga!?

Czy widzicie, ta na niebie łuna,
To mojego brata krwawa truna —
Czy widzicie, jak strasznie do koła
Niebo na nas śmiercią brata woła,
On tam zginął od zdradzieckiej kuli,
Którą piekłem *oni* mu zatruli;
On tam zginął, z krzyżem świętym w ręku,
I... padając trupem, tyle wdzięku,
I uroku tyle miał na twarzy,
Co ta łuna, co się w niebie żarzy.
Matko moja, matko moja miła!
Czemuś, czemuś syna wypuściła,
On nie wróci — o! nigdy nie wróci,
Bo go z grobu anioł nie ocuci,
Który stanął tam przy nim na stróży,
By zwłok jego nie miotano w burzy...
Matko moja! straszna w sercu trwoga!
Co się dzieje? mówcie mi, na Boga!

. . . .

Przez sen córa, podobna do róży,
Tak okropne matce wieści wróży —
Serce matki bolem się rozdziera,
Czy jej drogi syn iście umiera?
Czy przeczuciem ta wróżba złowroga;
Czy proroctwem straszna serca trwoga?

Oj przeczuciem ta wróżba złowroga,
I proroctwem straszna senna trwoga:
Bo gdy ranek zaświtał na niebie,
Dzwon niósł wieści straszne o pogrzebie,
O przegranej nowej wieścił światu,
O sieroctwie matce, siostrze, bratu.

A gdy matka z córką swoją biedną,
Poszli ścieżką śmierci wspólną jedną,
Pierś zbroczoną, trupią, oglądali,
Koło której dwaj grabarze stali;

I w przeczucie wierząc, klękły razem
Przed cudownym Mateńki obrazem,
Co na piersi poległego świecił,
Co mu duszę swą, ginąc, polecił.

J. K. Turski.

KSIĄDZ MAREK.

(JULIUSZA SŁOWACKIEGO).

(Dokończenie)

Po tej scenie następuje owa Kreczetnikowa z Braneckim, o której w należnem miejscu mówiliśmy. Teraz następuje scena ostatnia, najkrwawsza, najboleśniejsza. Kazimierz Puławski otacza Bar, i jako parlamentarz wjeżdża do miasta, domagając się wydania księdza, obiecując jenerałowi oddać w zamian żonę i dzieci pojmane przez konfederatów. Żołnierz ojciec, struchlał na tę nowinę i wszystko obiecuje. Tymczasem Judyta pozapalała szpitale, zadżumieni z palącemi się kołdrami roznoszą zarazę i płomienie po mieście, i wołają o uwolnienie księdza, wierząc, że Bóg ich karze „za cudotwórcę“ — wojsko się buntuje, księdza wyprowadza z więzienia i „przed białym karmelitą popadało na kolanach, sine pokazując strupy, krzycząc, że zaraza je goni.“ Kreczetnikow upadł całkiem na duchu, Puławski, bunt wojska, pojmanie żony i dzieci łamią go, jako żołnierza, człowieka, ojca —

O! ja teraz poszedł w trupy.
Puść! niech zginę!
Niech się ziemia podemną otworzy.

To trzecie zwycięztwo ducha. Scena ta, którą się kończy dramat, jest jedna z najefektowniejszych, jakie znam; ale zarazem przykra, niemiła: z anatomiczną dokładnością i plastycznie przeprowadzony obraz pożaru i zarazy, budzi trwogę, strach i odrazę. Puławski odkrywa skrzydła namiotu jenerała i pokazuje się plac pełny żołnierstwa, chorych szpitalnych. Niektórzy leżą prawie nadzy na tapczanach, trupom podobni. W środku motłochu na rusztowaniu z łóżek szpitalnych stoi ks. Marek z krzyżem w podartym i pokrwawionym habicie — błyskający siłą ducha i proroctwami, w całym majestacie, jak słońce przed zachodem, i mówi nam o wielkiem posłannictwie każdego ducha, a kto tego ducha w sercu zostawi, ze łzą, z chlebem ludzkim strawi — i uniesie razem z duszą *niebieskiej pragnąc korony*, a tu niepomoże światu, ten zaprawdę potępiony.“ Wielka jest, mówi dalej, siła tego ducha, czasem patryotyzm lub chęć sławy odrobinę tej siły dobywają z człowieka.

Dwie drogi widzi przed sobą święty mąż, bo albo (mówi):

będę skąpić
Dziś mojego w kościach ducha...
i Jeżeli jeszcze na świecie
Żywot mi się upodoba,
I ta mych wrogów żałoba,
I to ich upokorzenie,
. . . .
Jeżeli pogardzę zgonem,
Serca litością nieruszę,
I duszy niedam za duszę;
Lecz wstanę, Pana zawołam,
O zemsty jego kropelkę
Poproszę — gromu, co bije,
Jak mściwy człowiek użyję,
I przyzwę śmierć jak mścicielkę:
Wszyscy zginiecie straceni.

Ale wtedy ducha Bożego zabiłby w sobie, i w tych, w których go zbudził; mściwy czyn przekleństwo by tylko wywołał; więc odwraca się ksiądz od tej drogi i obiera inną, Chrystusową. Własną śmiercią gasi zemstę żydówki, i oddając za innych swego ducha, podnosi tamtych, i każe im wierzyć w sprawiedliwość i moc ducha Bożego. Umierając, rzuca jeszcze smutne proroctwo o niewoli, której pierwsza godzina wybiła w Barze; ale i nadzieje daje. Umiera i śmiercią zdejmuje z mieściny zarazę i z nią jak z chorągwią idzie do Boga. Nad ciałem świętego i wojownika chwilowy pokój. Puławski przystaje na zawieszenie broni, a jenerał Kreczetnikow sam chce uczcić pogrzeb świętego, i ponieść jego mary. Taki jest koniec dramatu.

Treść jego wzięta jest z dziejów, osoby historyczne namalowane z całą prawdą, zdarzenia zaś i wypadki niezawsze osnute według historyi, bo je zmieniał i tworzył poeta wedle konieczności dramatycznej.

Zastanówmy się jeszcze nieco nad przewodnią myślą i dążnością dramatu. Przypomnę tu więc najprzód to, com na początku tej rozprawki powiedział, tj. że Słowacki jest poetą obecnej i przyszłej Polski. W księdzu Marku obiecałem wytłumaczyć się jaśniej z tej myśli. Zobaczmy więc, jak poeta umiał nim być. Nie będziemy tu, zwyczajem niemieckich komentatorów, domyślali się, o czem się poecie ani śniło; ale tego, co wyraźnie stoi napisano niepominiemy.

Konfederacya barska była ostatnim aktem starej, szlacheckiej Polski. Wielkie cnoty ją podniosły, przesądy wiekowe jej nierozwinęły, skarliły ją, duma ją zabiła. Upadek jej, to początek tyloletnich cierpień i mąk narodu. Otóż wśród tego konania starych czasów Słowacki postawił kołyskę nowej, młodej Polski, a piastunem jej ks. Marek.

„Ona tutaj leży w żłobie,

mówi do marszałka konfederacyi...

Lecz Polska, nie tego wieku,
Żywa, *nie przez nasze czyny*,
Która będzie żyła wieki.

Ale, aby ta dziecina wzrość mogła, potrzeba oczyścić jej mieszkanie ze starych grzechów i złości. Więc najprzód odchodzi od niej magnat Krasiński. Dobrowolnie odstępuje tej kołyski dla dumy, dla dyplomacyi i t. d.; a za nim idą ci wszyscy, co bez własnego zdania, z posłuszeństwa, interesu, lub innych powodów czepiają się klamki magnata. Zostaje szlachcic Kosakowski, mający jednę cnotę szlachecką a tysiąc wad, zostaje mieszczaństwo, zostaje żyd i jego córka. Żyd pijawka, obojętny na sprawę narodu, żyjący tylko miłością swej córki, umiera wnet na rozkaz Kosakowskiego. Chęć zysku i miłość córki były przyczyną jego śmierci. Więc i z tego brudu oczyszczone mieszkanie dzieciny. Kosakowskiego szlachcica wypędza ks. Marek z Baru. Powraca on potem; ale przemieniony, inny, jak to go widzieliśmy w akcie trzecim. On i żydówka, lubo nie osoby przyszłości, są już wysłannikami jej, są pracownikami na przyszłość. I wrogie najezdnicze potęgi upadają przed tą kołyską dzieciny, korząc się przed jej piastunem.

To jest moralne zwycięztwo ducha, którego przedstawicielem ksiądz; gienialna zaś potęga narodu zniszczona odstępstwem wielu, zdradą i niegodziwością, i dla tego naród upada, aż harmonia znowu wróci i podniesie, co upadło.

Taki jest przebieg księdza Marka; wiem, że ledwie w głównych konturach naszkicowaliśmy go; niechodziło nam bowiem tyle o rozbiór dramatu, ile o główną myśl jego.

Śmierć ks. Marka i konieczność jej przywodzi nam na myśl śmierć Anhellego, i to, co o nim powiedział Krasiński:

„Anhelli — to pokolenie, co umrze dnia poprzedzającego dzień, w którym żądze dopełnić się mają (przez ich boleść).“

Na tem kończymy.

OCZY MARYNI.

Powieść.

(Ciąg dalszy).

Jakże przyjemnie zdziwiła się nazajutrz Marynia, kiedy otwierając fortepian znalazła w nim opłakaną stratę, książkę do nabożeństwa. W pierwszej chwili szczęścia zachwycone dziewczę poczęło przypuszczać cuda, duchową matki opiekę, co się nad jej łzami zlitowała — poczęło wierzyć, że to dzieło anioła stróża; ale powoli, powoli twarz anioła stróża poczęła przybierać w jej główce rysy Adasia, jego cerę i wąsik, i w końcu pewną była Marynia, że to on tak pamiętał o niej. Kobiety rzadko mylą się w przeczuciach. Marynia chciała najczulej podziękować Adasiowi; ale go niebyło w domu, usiadła więc do fortepianu i niby na podziękowanie nieobecnemu zagrała jednę z ruskich dumek, które on tak lubił. Dumka była smutna, tęskna, jak wszystkie ruskie; oczy Maryni były zwilżone, ale twarz uśmiechniona szczęściem. Nagle jakieś nieprzyjemne przeszło ją uczucie, obejrzała się, Henryk wszedł do salonu z książką w ręku.

— A że też zawsze temi nudnemi dumkami nas męczysz, aż uszy bolą; choćby człowiek chciał się jaką książką rozerwać, to dalibóg niesposób.

Marynia spuściła ręce od fortepianu i spojrzała z politowaniem na Henryka.

— Dziwna rzecz, czemu ich Henryku nielubisz, kiedy w nich tyle poezyi.

— Znowu z poezyą wyjeżdża, drugie nudy, i jedno i drugie takie ckliwe jak dziad, co skomli za drzwiami.

Każde słowo Henryka wywoływało na przezroczystą twarz i oczy Maryni inny odcień uczucia, to politowania, to wzgardy, to obrazy. Henryk usiadł naprzeciw niej na kanapie, może dopatrzył myśl dziewczyny, może wyczytał swą małość w jej spojrzeniu, bo wnet złośliwie mścić się zaczął:

— A może też dla tego panna Marya tak lubi dumki, że niemi wczoraj zachwyciła Czerpskiego? smaczny to kęsek, bogaty, przystojny, w Paryżu politurowany— to i warto dumkami go sobie przypominać.

Marynia zmarszczyła ledziutko czoło, milcząc wstała, i chciała odejść z salonu, kiedy do niego weszła pani Splinowska, dzwoniąc kluczykami. Była to sobie kobieta żywa, czupurna; oczy bystre, dowcipne, nosek lekko zadarty, twarz rumiana, zdrowa, a umilona takim serdecznym uśmiechem, że ją czynił istotnie miłą i przyjemną; tylko lekko zaciśnięte kąty ust pokazywały, że w tem poczciwem sercu są i grymasiki i uporki. Weszła i zatrzymała Marynię.

— Nieodchodź no moja kochana, bo ja właśnie idę do was na gawędkę, z gospodarstwem już się odbyłam, a teraz będziemy rozmawiać o wczorajszej zabawie. —

I siadła do tej rozmowy z takim smakiem, jak gastronom do objadu i poczęła rozmowę o wszystkich osobach wczorajszego zebrania, przypinając każdej jakąś łatkę. Ta miała złą suknię, ta złą minę, ta złą wymowę, inna źle tańczyła, innej niebrano do tańca — zgoła naszkicowała tyle osób, domysłów, scen, że nie jednemu powieściopisarzowi wystarczyłoby na kilka powieści. Henryk złośliwemi uwagami uzupełniał uwagi matki. Marynia uśmiechała się, ale ani jednem słówkiem nie pomogła, ani jedną uwagą nie ucieszyła ciotki. To panią Splinowską nieraz w zły humor wprawiało, tą razą jednak sama się jakoś na własną mowę ożywiła, rozbawiła. Do salonu weszła jeszcze inna osoba. Pan Splinowski.

Z jego przyjściem rozmowa się urwała, i jakoś nie szła dalej, choć sam zachęcał.

— O czemże mowa? — pytał pokaszlując.

— Eh!... tak... różnie — mówiła żona.

— No! mówcież dalej, niech i ja coś usłyszę, nudzę się — i siadł w wygodnym fotelu i ziewnął.

Takie przyjemne wezwanie do rozmowy było dostatecznym powodem do jej urwania, poczęto więc mówić, bo zwykle w takim razie się mówi: o pogodzie.

— Gdzie Adaś? — spytał stary.

— Poszedł z ekonomem na polowanie — odpowiedział Henryk.

— Że też to pani pozwalasz chłopcu tak wciąż przestawać z ludźmi ordynaryjnymi, sam się potem na chama wykieruje.

— Ależ ekonom poczciwy człowiek, wszak sam nieraz u niego bywasz i do siebie na obiad zapraszasz...

— To znowu co innego, bywam, gadam, choć mnie to diablo męczy; ale cóż człowiek niezrobi dla oka ludzkiego. Głupie czasy, dziedzicom się we łbach przewróciło, że ekonom, to człowiek jak oni... i nuż rękę podawać, nuż panie mówić, a im w to graj. To też przynajmniej trzeba mieć takt z nimi, grzecznie; ale z daleka. A na polowaniu to zaraz rozmowy, przyjaźnie, za pan brat — niechcę tego.

Wśród tych słów Marynia odwróciła się ku oknu. Może ją bolała ta mowa, (matka jej bowiem była kobietą innych myśli, innych zasad), a może obejrzała się dla tego, że usłyszała psów na dziedzińcu, i niebawem pokazał się w bramie Adaś z strzelbą na ramieniu, wracający z polowania. Marynia spłonęła lekko, a może i serduszko żywiej uderzyło—nie podejrzywam, żeby z miłości, może z wdzięczności?

Niedługo wszedł Adaś do salonu i u samego wejścia spotkały go oczy Maryni patrzące na niego z wdzięcznością. Zmięszał się, ukłonił, wybąknął ni to, ni owo, i usiadł obok Henryka.

— Ale wie też ciocia, cud się stał, moja książka się znalazła.

— Pewnie za pośrednictwem Macieja ten cud się stał, Maciej za obiecankę poszukał w saniach pilniej i znalazła się — rzekł znowu Henryk.

— O! nie! pytałam się go już o to.

Adaś był w potach — pani Splinowska rozciekawiona, małżonek jej nie oponował, choć w cuda nie wierzył—nieoponował, bo mu się niechciało tłumaczyć sobie myśleniem tego wypadku . . . .

. . . .

on tymczasem bawił się samotnikiem.

— Jakto, więc nie w saniach znaleziono książkę?— spytała ciekawa ciocia.

— Wcale nie! znalazłam ją w fortepianie dziś rano.

— Marynia się bawi w kuglarkę, i cudownym sposobem znajduje rzeczy, które sama wczoraj schowała— cedził Henryk, śmiejąc się ironicznie.

Marynia nic nieodpowiedziała na tę złośliwą uwagę; ale z oczu jej widać było obrażoną godność dziewczęcą. Adaś spojrzał z gniewem na brata.

W tej chwili Maciej otworzył szeroko drzwi:

— Proszę państwa do stołu — wygadał głosem monotonnym, jak dzwonek.

Wszyscy przeszli do pokoju jadalnego — kiedy Henryk zbliżał się ku drzwiom, Adaś chwycił go za rękę i wciągnął napowrót. Usta miał zaciśnięte, brwi ściągnięte i zapalone oczy.

— Słuchaj — mówił grożąc bratu — jeżeli jeszcze raz będziesz docinkami dokuczał Maryni, to łeb roztrzaskam, rozumiesz?

Henryk pobladł jak ściana; ale próbował jeszcze dowcipem odgryść się bratu, i zadrwić z jego bohaterstwa.

— Proszę, niewiedziałem, że się tak czule kochacie...

Adaś zawrzał gniewiem, radby był zdusić tego człowieka, co mu tajemnicę serca pierwszy słowami powiedział, więc silnie go chwycił i pchnął. Naturalnym skutkiem pchnięcia był upadek Henryka, bo Adaś nie był bez siły.

Po tej scenie obaj weszli do sali jadalnej.

— Cóż się stało? — spytała mama (tatko był zupą zajęty) — Adaś czerwony, a Henryk blady?

— Bo mi gorąco — rzekł Adaś.

Henryk chciał przyczynę powiedzieć; ale spotkawszy oczy Adasia, wyraziście zapowiadające mu powtórzenie, zmienił odpowiedź i rzekł:

— A.. mnie... trochę zimno.

Siedli wszyscy do stołu.

— Goście jadą — zawołała pani domu patrząc w okno. Gość jej był bardzo miłym.

— Tego nielubię, gdy obiad się przerywa, to nieporządek — rzekł pan Splinowski, kończąc zupę.

Tymczasem goście zajechali przed ganek. Była to pani Czerpska ze synem. Nieomylił się Henryk, utrzymując, że Maryni dumka zwabiła konkurenta; ale nie dumka, bo jak zobaczymy, konkurent wcale do dumek nie był skłonny, jeno... twarzyczka i posag. Władzio Czerpski dowiedział się już o posagu panny i argumentował mamie, że w przejeździe muszą koniecznie wstąpić do pp. Splinowskich. Mama, jak każda mama (a do tego pani Czerpska była wzorem mam, jak to zobaczymy) dała się przekonać argumentami syna, i niespodziewaną wizytą ucieszyła panią Splinowską, a zakłóciła spokój i obiad jej małżonka.

Po zwykłych powitaniach na ganku pan Splinowski zawyrokował:

— Państwo pewnie nie po obiedzie — proszę siadać z nami.

W dygach, prysiudach, przymileniach weszła do pokoju czerwona jak piwonia pani Czerpska; ubrana w czepek z czerwonemi wstęgami, w ciężką zieloną suknię w pasy, (te kolory, jak mówiła, *stały* jej do twarzy). Zdaleka miała podobieństwo do papugi, z bliska do brzydkiej kobiety. Siadła do stołu, zapewniając jak najuroczyściej, że nic jeść nie będzie, że nie głodna itd.; które to jednak twierdzenia w ciągu obiadu mylnemi się pokazały: jadła porządnie, na smutek pana Splinowskiego, a na prawdziwy niepożytek Henryka i Adasia, którym półmiski łyse się dostawały. Inszym był jej syn; choć pani Czerpska utrzymywała, że podobny do niej, jakby jej z oka wypadł — my jednak ośmielimy się twierdzić przeciwnie. Bo synek był blady, wysoki, na cieńkich nogach; głowę niebrzydką miał, trochę wsuniętą w ramiona; a gdy mówił, przymrużał okropnie oczy, a pokazywał zęby, co mu nadawało minę wprawdzie pańską, ale fatalnie brzydką. Mimo to był przyjemny w towarzystwie, dowcipny, wymowny, wykształcony, czego dowodem była nietylko jego mowa; ale i bytność w Paryżu i ubiór modny. Wszystko u niego było modne, wyuczone; nawet jadł, krajał, pił uczenie. Ruchami temi imponował parafianom, którzy napróżno sadzili się na niezręczne naśladowanie. Do parafianów liczyła się i mama. I ona, podziwiając ułożenie syna, uczyła się jego manier, i wtedy każdemu musiała przypominać pewien gatunek zwierząt, gdy razem siedli, jedli, lub chodzili. To też Henryk, któremu przybycie gości wybiło z głowy chamskie obejście się Adasia i wróciło humor, z właściwą sobie przyjemnością patrzał się na panią Czerską.

Obiad szedł zwykłą koleją. Gospodyni przepraszała za skromny obiad, tłumacząc się nieprzygotowaniem; pani Czerpska chwaliła wszystko, jadła, lub nie jedząc rzucała czułe spojrzenia i czulsze uśmiechy na dwóch braci; wierzyła, że te wdzięki niemiały mocy odpychającej, i że jej z tem do twarzy. Pan Splinowski, z bojaźni, że sobie przez gości nie podje, jadł okropnie, nawracając co chwila Macieja do siebie z półmiskiem. Łakomstwo było także piękną stroną pana Splinowskiego. Patrzącemu na niego zdawać by się mogło, że jadł gębą i oczami, ledwie nie rękami, tak te wszystkie części jego ciała były wtedy w ruchu i gastrono-

miczny miały nastrój. Pan Władysław siedział przy Maryni, od czasu do czasu zawiązywał z nią lekką rozmowę, którą znowu z właściwym sobie taktem rozwiązywał. W skok za nim i pani Czerpska zagadnęła parę razy Marynię.

— A już to można powiedzieć, jak pani przecudnie gra, doprawdy słyszałam po balach różne muzyki; ale takiej jak wczoraj...

Syn zagryzł wargi, z czego mama postrzegła, że głupstwo palnęła, ale jakie? a może tylko synalkowi się to głupstwem wydawało, wszak wszyscy inni z zajęciem słuchali... myślała sobie: Mój Boże, jak to źle, jak człowiek da dziecko edukować na wysoki stopień, to potem matki za nic niema i... matka głupia.

Tak myślała mama, gdy w tem myśli jej przerwała rozmowa syna, który płynnie, elegancko, mięszając od niechcenia francuskie wyrazy, opowiadał o Paryżu rozciekawionym gospodarzom. W tej chwili znowu mama nieżałowała, że dała syna całkowicie na wysoki stopień. Takto serce matki umie sobie tłómaczyć zbytek miłości swojej. Co tatko, ten sobie nigdy tego niewytłumaczył, i zawsze zaglądając do pustej kasy i obstąpiony żydami klął Paryż, syna i żonę; za to od obojga za ignoranta uznany, zostawiony był samemu sobie, a mama z synkiem reprezentowali dom w domu i za domem.

Wreszcie skończył się obiad, potem czarna kawa i rozmowa, a potem towarzystwo się podzieliło. Pan Splinowski czuł się po obiedzie czegoś niezdrów i pożegnał towarzystwo. Adaś i Henryk zabrali Władzia na cygara do swego pokoju. Panie zostały same w salonie. Tu dopiero pani Czerpska, której twarz rozpłomieniona po obiedzie wpadała w amarantową barwę, rozpuściła się w dygi, krygowania, wdzięczenia się; co chwila poprawiając się na kanapie, co chwilę ściskając rękę pani Splinowskiej. Rozmowa toczyła się o wczorajszej zabawie, o strojach i gospodarstwie, o cholerze z r. 1831, o wuju pani Czerpskiej, o jej familii itd. Marynia patrzyła na nią spokojnie, skromnie, przecież z rodzajem jakiegoś niesmaku. Ciotka zaś jej, lubo trochę ironicznym uśmiechem zacięła usta, rada była z tej rozmowy, z której tyle nowych i starych nowinek nabrała. Od czasu do czasu pani Czerpska robiła w rozmowie małe wycieczki i ataki na Marynię, zaczepiając ją słówkami: bo jako troskliwa mama chciała i wybadać czy Marynia uszczęśliwi nadzieją jej nadzieję, i zarazem chciała sobie przywabić młode serduszko. Pani Czerpska wierzyła, że jej słowa mają lep w sobie. Ta wiara, i wiara w ostatek swoich wdzięków, to były dwie rzeczy, w których posiadaniu ona tylko była: reszta liczyła się do niewiernych.

(C. d. n.)

LISTY FIZYKALNE,

przez

Dra Feliksa Strzeleckiego.

(Zob. Nr 14).

List drugi.

O żywotnych własnościach ciał.

Pomimo, że nie zamierzam wyczerpąć w tych listach całej nauki fizykalnej, muszę jednak zacząć od zwykłego początku Fizyki tj. od własności, które spostrzegamy na wszystkich ciałach bez wyjątku, a które dla tego *ogólnemi* własnościami ciał nazywamy. Atoli tutaj zastanowimy się tylko nad temi ogólnemi własnościami ciał, bez których nie moglibyśmy sobie ani wystawić jakiegoś ciała, a które dla tego *żywotnemi* ciał własnościami się zowią. Te własności są: rozciągłość, nieprzenikliwość, ruchomość i bezwładność.

Rozciągłość. Każde ciało zajmuje pewną przestrzeń tj. rozciąga się i to w trojakim kierunku, mianowicie wzdłuż, w szerz, i głąb. Wielkość przestrzeni zajętej przez ciało zowie się *objętością* ciała. Ona jest ograniczoną powierzchniami tj. rozciągłościami w dwóch tylko kierunkach, mianowicie wzdłuż i w szerz, które nadają ciału pewien kształt czyli *formę.* Powierzchnie ograniczone są liniami tj. rozciągłościami w jednym tylko kierunku, mianowicie wzdłuż.

Chcąc wymierzyć długość linii, używamy rozmaitych znanych długości za miary. Zwykłą miarą długości jest *stopa.* Ta dzieli się na 12 cali, cal na 12 linii, linia na 12 punktów. Większemi miarami długości są sążeń, który ma 6 stóp; mila, która ma blisko 4,000 sążni. Używając atoli sążni, stóp itd. do pomiaru długości, wiedzieć potrzeba, którego to kraju są te sążnie, stopy itd. gdyż miary te używane w rozmajtych krajach, nosząc te same nazwy, nie zgadzają się z sobą pod względem długości. U nas zaprowadzone są urzędownie sążnie, stopy itd. wiedeńskie. Ta sama uwaga tycze się także innych miar, w rozmaitych krajach jednakowo nazwanych. Na łokieć np. wiedeński liczy się zwykle pięć ćwierci łokcia lwowskiego.

Pomiędzy miarami długości zasługuje na szczególną wzmiankę miara francuzka czyli metryczna, gdyż ta będąc bardzo wygodną coraz bardziej się rozpowszechnia. Ażebyś kochaną, Siostro! o tej mierze dokładne powzięła wyobrażenie, wystaw sobie, że poprowadzono po powierzchni ziemi koło, przechodzące przez oba bieguny ziemi, że podzielono czwartą część tego koła (idącą od bieguna północnego do równika) na dziesięć milionów równych części i... że wzięto taką dziesięciomilionową część. Otóż tę część wzięli Francuzi za miarę zasadniczą i nazwali ją *metrem.* W porównaniu z miarą wiedeńską wynosi meter 3 stóp, 1 cal i 3 linie. Dziesiąta część metra nazywa się decimeter; setna centimeter; tysiączna millimeter; zaś dziesięć metrów zowie się dekameter, sto hektometer, tysiąc kilometer, dziesięć tysięcy myriameter.

Chcąc wymierzyć powierzchnię, używamy za miarę kwadrat (powierzchnię płazką, ograniczoną czteroma równemi liniami, i u której wszystkie cztery kąty są równe), którego każda krawędź ma długość miary długości, a więc np. kwadrat, którego każda krawędź ma długość sążnia, tak zwany sążeń kwadratowy, stopę kwadratową, cal kwadratowy itd. Sążeń kwadratowy zawiera w sobie 6 razy 6 tj. 36 stóp kw., stopa kw. 12 razy 12 tj. 144 cali kw., cal kw. 144 linij kw. Francuzką miarą zasadniczą dla powierzchni jest ar, tj. kwadrat, którego każdy bok wynosi dekameter. Dziesiąta część aru nazywa się deciar, setna centiar, tysiączna milliar; zaś 10 arów zowie się dekar, 100 hektar, 1,000 kilar, 10,000 myriar.

Miarą nareszcie objętości jest sześcian tj. objętość ograniczona sześcioma równemi kwadratami, którego każda krawędź równa się mierze długości np. sążeń sześcienny, stopa sześcienna itd. Sążeń sześcienny ma w sobie 6×6×6 tj. 216 stóp sześciennych, stopa sześć. 12×12×12 tj. 1728 cali sześć.; cal sześć. 1728 linij sześć. Francuzką miarą zasadniczą dla objętości jest liter tj. sześcian, którego każda krawędź równa jest decimetrowi. Dziesiąta część litra zowie się deciliter, setna centiliter, tysiączna milliliter; 10 litrów dekaliter, 100 hektoliter, 1,000 kiloliter, 10,000 myrialiter. Meter sześcienny nazywa się ster, wynosi on 1000 litrów.

Gdy ci wypadnie mierzyć rzeczy drobne, to postąpisz sobie w sposób, o którym poweźmiesz wyobrażenie z następujących przykładów. Gdybyś np. chciała wymierzyć grubość nitki jedwabnej, to nawiniesz ją na patyczek tak, żeby każdy zakręt leżał bezpośrednio przy poprzedzającym, dopóty, aż nitka, tym sposobem nawinięta, zajmie na patyczku długość np. linii. Jeżeli się pokaże, że na tej długości mieści się np. 50 zakrętów, to grubość nitki wynosi pięćdziesiątą część linii. Przy kupowaniu nici trudno jest czasem rozróżnić, które cieńsze a które grubsze? W tym przypadku skręca się jedne nici np. we czworo, równie i drugie w tenże sam sposób we czworo, a teraz łatwiej będzie rozróżnić cieńsze od grubszych.

Nieprzenikliwość. Przestrzeń, którą zajmuje ciało materyą swoją, zapełniona jest tą materyą w ten sposób, że w niej żadne inne ciało mieścić się nie może. Dwa tedy ciała nigdy nie mogą być na jednem miejscu; lecz zawsze jedno ustępuje, gdy drugie w miejscu pierwszego rozprzestrzeniać się poczyna. Własność tę, która wszystkim ciałom przysługuje i do istoty ich należy, nazywamy *nieprzenikliwością*. Wbijając np. gwóźdź w mur, spostrzegamy, że weń wchodzi tylko wtenczas, gdy części muru przed nim leżące wypchnąć zdoła; gdy tego nie potrafi, zegnie się raczej a nie wejdzie w miejsce, murem zapełnione. Woda i powietrze, ponieważ ciała, są także nieprzenikliwe. Postępując w nich naprzód, wypychamy je z miejsca, w które wstępujemy. Pewnie ci się wydarzyło już nieraz, że płyn, który wlać chciałaś za pomocą lejka do flaszki, nie chciał doń wchodzić. W tym przypadku niezawodnie lejek szczelnie przystawał do szyjki flaszki, a ciecz zatykała otwór szyjki; powietrze, nie mogące tędy wydobywać się z flaszki, płynu do niej nie wpuszczało. Dopiero, gdy podniesiesz lejek trochę do góry, powstanie między ścianą szyjki i ścianą lejka szczelina, którą powietrze uchodzi w miarę, jak ciecz wpływa do flaszki. Z tej samej przyczyny podnosi się mleko w szklance, gdy do niej kawałek cukru wpuścimy, woda w wannie, gdy w kąpiel wchodzimy; dla tego też formy, służące do lania figur metalowych lub gipsowych, opatrzone są stósownemi kanałkami do wyprowadzenia powietrza, bo gdyby to uchodzić nie mogło, nie dozwoliłoby materyi ciekłej zapełnić doskonale formy; dla tego nareszcie nie napełni się szklanka wodą, jeżeli ją dnem do góry pod wodę wepchniemy. Ażeby uwidocznić, że w szklance, tak wepchniętej w wodę, znajduje się powietrze, a zatem nie woda, przylepia się małą świeczkę palącą się do korka lub łupy z orzecha, i kładzie się ją na wodzie; potem nakrywa się ją szklanką wysoką, którę się wciska całkiem pod wodę, a spostrzega się, że świeczka jakiś czas palić się będzie.

Wystaw sobie, kochana Siostro! to doświadczenie z szklanką zrobione na wielki rozmiar, a będziesz mieć wyobrażenie *o dzwonie nurkowym*. Jest to przyrząd wielki, do dzwona podobny, ulany z metalu, w którym znajdują się ławeczki, na których człowiek lub nawet kilkoro ludzi siedzieć może. Dzwon nurkowy zawozi się na okręcie lub czółnie na to miejsce morza lub rzeki, gdzie na dnie ma się szukać pereł lub korali, albo wydobywać rzeczy zatopione, albo nareszcie wykonywać jakie budowania pod wodą. Nurek siada w dzwonie, a ten na mocnej linie zapuszcza się w głąb. W dzwonie wisi sznureczek sięgający aż do okrętu, za pomocą którego nurek może dać znać, gdy sobie życzy, żeby go wyciągnięto. W górnem dnie dzwonu znajduje się kilka okienek z grubego szkła szczelnie wprawionych, któremi dostaje się światło wewnątrz dzwonu, a za pomocą rury skórzanej, osadzonej także szczelnie w otworze dna górnego i sięgającej aż po nad zwierciadło wody, pompuje się od czasu do czasu świeże powietrze do dzwona. Ludzie znajdujący się w dzwonie mogą zatem bezpiecznie zostać pod wodą jakiś czas; lecz nie zbyt długo, gdyż oddechanie powietrzem, zgęszczonem wody naciskiem sprawia po niejakim czasie ból w piersiach i głowie; wprawny jednak nurek zawsze z parę godzin w znacznej nawet głębi wytrzymać może. Nurek może się nawet udać poza dzwon pod wodą. W tym celu zaciąga na głowę kaptur z materyi, wodę nieprzepuszczającej, opatrzony z przodu naprzeciw ócz okienkami, a z tyłu długą rurą z takiej samej materyi, sięgającą aż pod dzwon, i zawiązuje go mocno pod szyją. Powietrze przychodzi ciągle tą rurą do kaptura i służy nurkowi do oddechania. Wynalazcą dzwona nurkowego był Anglik Halley w r. 1716.

Ruchomość i bezwładność. Gdy ciało w miejscu, które zajmuje, pozostaje, to mówimy o niem, że *spoczywa;* jeżeli zaś miejsce swe zmienia, opuszczając takowe i przechodząc w inne miejsca, to mówimy, że się *porusza*. Spoczynek jest tedy pozostawanie ciała w swem miejscu, ruch zaś zmienianie tegoż. Co się tyczy spoczynku i ruchu, uczy doświadczenie:

najprzód, że żadne ciało, zostające w spoczynku; nie może samo przez się zacząć się poruszać. Zawsze jakaś zewnątrz ciała leżąca przyczyna ze spoczynku w ruch je wprowadza. Tę przyczynę ruchu nazywamy siłą poruszającą;

powtóre, że ciało w ruch wprowadzone dąży zatrzymywać niezmiennie ten ruch mu udzielony. Tylko przeszkody zewnątrz ciała leżące, jako to: tarcie się o podstawę, po której ruch się odbywa, opór otaczającego powietrza lub otaczającej wody, sprawiają, że ruch ciała maleje i takowe nareszcie w spoczynek przechodzi. Gdy np. rzucimy kamień po ziemi, spostrzegamy, że opuściwszy rękę, a więc nie zostając już pod wpływem siły poruszającej, porusza się po ziemi tem dalej, im mniej chropowata powierzchnia ziemi i mniejszy opór powietrza, po gładkiej powierzchni lodu zatem dalej, jak po nierównej powierzchni ziemi. Dążność kamienia zatrzymać niezmienne ruch mu udzielony jest tedy oczywistą. Gdybyśmy byli w stanie usunąć wszelkie przeszkody, ruch tamujące, od ciała w ruch wprowadzonego, i gdyby prócz sił, które ruch ten sprawiły, żadne inne na nie nie działały, to takowe ciągle poruszałoby się nie zmieniając ani kierunku ani chyżości ruchu swego. Ciała niebieskie nie doznają znacznych przeszkód w biegach swoich, w których się znajdują, krążąc jedne około drugich. A chociaż wzajemnie się przyciągają, jednak nie poruszają się wprost jedne do drugich, bo w każdej chwili usiłują zatrzymać ruch w tej chwili im przysługujący.

Własność tę ciał żywotną, że mogą być poruszone, nazywamy: *ruchomością*; tę zaś, że zostając w spoczynku, dążą w nim pozostać, zostając zaś w ruchu, dążą ruch ten niezmiennie zatrzymywać, że więc w ogólności stanu swego pod względem spoczynku i ruchu same zmieniać nie zdołają: *bezwładnością*.

Wiadomość literacka.

Ogłoszono przedpłatę na wielkich rozmiarów Poemat W. Pola: *Hetmańskie Pachołę.*

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. —Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**